

FERDYNAND RYMARZ

ur. 1940; Strzyżewice



Miejsce i czas wydarzeń	Strzyżewice, Lublin, II wojna światowa, PRL
Słowa kluczowe	Strzyżewice ; dzieciństwo ; II wojna światowa ; topografia Strzyżewic ; mieszkańcy Strzyżewic ; Żydzi ; szkoła w Strzyżewicach ; Armia Krajowa ; ucieczka Niemców ; zakończenie II wojny światowej ; partyzantka ; rodzina ; losy rodziny ; Rymarz, Mieczysław ; projekt Tajne nauczanie. Cisi bohaterowie ; Gonek, Michał ; egzaminy ; uczniowie tajnego nauczania ; tajne nauczanie w Strzyżewicach ; Drzewiecki, Bronisław ; projekt Ziemiaństwo na Lubelszczyźnie. Wirtualna podróż w czasie ; majątek ziemski Strzyżewice ; Kołaczkowska, Antonina ; rodzina Kołaczkowskich

Ferdynand Rymarz - całość relacji świadka historii [TEKST]

1. Zapamiętałem ostatnie dni wojny w Strzyżewicach

Nazywam się Ferdynand Rymarz. Pochodzę z Lublina, jestem sędzią Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, ale zawsze byłem związany z Lublinem i Lubelszczyzną. W Lublinie praktykowałem jako adwokat. Taką moją pasją poza prawem jest badanie historii regionalnej, miejsca mojego urodzenia – Strzyżewic. To jest pod Lublinem, 22 kilometry od Lublina. I tej pasji poświęciłem pięćdziesiąt lat mojego życia. Miałem rys historyczny w swojej biografii, gdyż studiowałem początkowo historię, dopiero z historii przeniósłem się na prawo i tak pozostało to zainteresowanie historią. Poznałem wtedy warsztat historyka, sposób dokumentacji, korzystania ze źródeł. Ja urodziłem się w Strzyżewicach w 1940 roku i zapamiętałem ostatnie dni wojny. Zapamiętałem także aresztowanie mojego ojca przez Armię Czerwoną. Ojciec był członkiem placówki Armii Krajowej w Strzyżewicach. To była groza, nie wiedzieliśmy, jak to się skończy. No zwolniono go po jakimś czasie, ale pamiętam dobrze ucieczkę Niemców. Niemcy uciekali, tak można by powiedzieć, z północy na południe szlakiem nad Bystrzycą. Uciekali i samochodami, ale były i pojazdy konne, i wtedy widziałem radość ludzi, skrytą radość, że oni uciekają, a równocześnie pewien strach z ich strony. Członkowie Armii Krajowej w Strzyżewicach, co jest wielką ciekawostką, na polecenie władz wojskowych postanowili wybudować bramę triumfalną. Rzecz polegała na tym, że te tereny

zostały praktycznie wyzwolone przez Armię Krajową zanim Rosjanie weszli na ten teren. I przez Strzyżewice, Kiełczewice, bo Bystrzyca leci tak, powiedzmy, od Zakrzówka aż do Lublina, jest taki gościniec, tak się to wówczas nazywało, ale dzisiaj jest piękna szosa. I właśnie tym gościńcem AK-owcy wystawili bramę triumfalną z takim wieńcem plecionym w lesie. To był lipiec. Napisali Witamy Wojsko Polskie. Ironia losu chciała, że najpierw przejechali AK-owcy i był to oddział Zapory. Pamiętam dobrze, bo nawet sam otrzymałem pewien prezent. Wraz z dziećmi stałem, ludzie witali. Oni byli uśmiechnięci, byli zupełnie inni niż późniejsza nasza armia. Rogatywki, białe mundury, no prezentowali się dość wspaniale i mieli zrzuty, jak później mi mówili dorośli, i oni rzucali ludziom, którzy stali przy drodze. Rzucali najczęściej papierosy i cukierki, no i oczywiście wszyscy rzucali się za tym zrzutem, a oni jechali furmankami, konno. Mnie udało się złapać nie cukierki, na co polowałem, ale paczkę stu papierosów amerykańskich. No oczywiście z dumą zaniósłem do ojca, ojciec był palaczem i taki był mój łup. Oni przyjechali. Z historii już wiem, że dojechali tylko do Prawiednik. Zapory nie udało się im ująć, ale innych dowódców Rosjanie zaprosili w Prawiednikach na spotkanie, na poczęstunek, otoczyli i aresztowali. A na czym polega ironia z tą bramą? Za dwa-trzy dni, ta brama nie była rozebrana, przejeżdżali Rosjanie z Armią Berlinga i również widzieli ten napis "Witamy Wojsko Polskie" za to, że się ich wita. I tak to w historii zostało. Ukrywano, że zostało zrobione to wcześniej.

2. Ojciec był aresztowany przez Niemców, ale ciocia i mama postanowiły go wykupić

Ojciec był dwukrotnie aresztowany, najbardziej trudna sytuacja to było aresztowanie przez Niemców. Ja tego momentu nie pamiętam, chociaż pamiętam Niemców, którzy wpadali do nas, bo oni pacyfikowali, wchodzili do każdego gospodarstwa i oglądali, i sprawdzali, i poszukiwali. I pamiętam, że pewnego razu ojca zabrali. To był krzyk mamy, rozpacz. Co się okazało: mama i siostra ojca były energicznymi kobietami i postanowiły wykupić ojca. Aresztowali bardzo celnie mojego ojca szefa, to znaczy właściciela młyna w Kiełczewicach i jeszcze mama chodziła tam do państwa Iwanickich, to byli właściciele młyna: „Może byśmy razem wykupili.” – „A przecież on jest niewinny.” – odpowiadała żona. On nie wrócił, natomiast przekupili żywnością. Żandarmeria mieściła się w Niedrzwicy – taki jakby posterunek policji dzisiaj, to była żandarmeria niemiecka. To była stacja kolejowa, tam był kilkuosobowy posterunek tych żandarmów niemieckich. Na czele stał [Fryderyk] Tomke. Nazwisko znane w okolicy, ponieważ on znęcał się bardzo nad Żydami. Bywało, że on tam lubił siadać na koń, jak opowiadano, jechać, to zdziesiął jakimś harapem Żyda, nawet zdarzały się wypadki, że strzelał, ale był człowiekiem przekupnym i w pierwszej fazie aresztu można było go przekupić. I jak on dostał walizkę żywności, bardzo szybko skonstruowanej, to wysyłali taką żywność do Niemiec. Tam panował głód w tym czasie, to był 1944 rok, i on się zgodził wypuścić ojca. To było ryzyko. Te dwie panie,

które wręczały mu żywność z tego tytułu mogły być aresztowane, ale udało się i ojciec wrócił. Ja byłem bardzo ciekawy losów, już jako dorosły człowiek, co się stało z tym [Fryderykiem] Tomke. On uciekał wraz z armią niemiecką. Jego poszukiwały władze polskie właśnie za znęcanie się w sprawach żydowskich, ale on miał również dużo osób, których ratował. Ratował w sensie tego, że brał łapówkę i wypuszczał. Ten [Fryderyk] Tomke podobno został aresztowany na ziemiach zachodnich i osądzony. Więcej o nim nie mam wiadomości.

3. Legendarny nauczyciel Michał Gonek i tajne nauczanie w Strzyżewicach

Przeżycia wojenne, przeżycia okupacyjne, a zwłaszcza opowiadanie mego ojca rozbudziły we mnie ciekawość. Ja ojcu zadawałem bardzo dużo pytań. Przejeżdżaliśmy: „A co to za dworek? A kto tu mieszkał? A co w tej chwili jest?”. Na wyobraźnię działały mury zamkowe. Tego zamku już nie ma. To był taki zamek szesnastowieczny, który był za moich czasów jeszcze ścianą i ojciec mówi: „Tu jest zamek. Nie wiadomo, co tu z nim było, – mało wiedział wiadomości – ale na pewno jest taka ludowa legenda: podziemne przejście aż do Bychawy”. To jest osiem kilometrów. To było nieprawdziwe, jak się okazało, ale na dziecko to działało bardzo silnie. I jak już później studiowałem historię, rodzice przenieśli się do Lublina, ja już średnią szkołę kończyłem w Lublinie, studiowałem na UMCS-ie. I ja wracałem wspomnieniami z dzieciństwa i postanowiłem to wszystko odtworzyć. I stąd też moje pięćdziesiąt lat badań regionalnych. Tę historię odgrzebałem z różnymi przygodami intelektualnymi, które [pojawiły się] w poszukiwaniu dokumentów, ale to jest jakby opowieść na inny czas. Jeszcze żyli starzy nauczyciele, ja się z nimi zaprzyjaźniłem, to byli przedwojenni nauczyciele. Tam był legendarny człowiek, nazywał się Michał Gonek, który przybył na te tereny z Rzeszowszczyzny, mówiono z Galicji, i on założył szkolnictwo, to znaczy wykonywał to, co mu pani Antonina Kołaczkowska instruowała, kierowała nim. I ten Michał Gonek opowiedział mi historię związaną z tajnym nauczaniem. I znalazłem dwa źródła tego tajnego nauczania. Pierwsze źródło to była kronika szkolna od przedwojnia, od roku 1926, powiedzmy, spisywana była taka historia tego roku szkolnego. Spisywał pan Gonek i ja tam natknąłem się, że w okresie okupacji było tajne nauczanie, ale była tylko jedna wzmianka, jakby linijka. Ja go później zapytałem, on mi opowiedział. Ja poprosiłem go o pisemne wspomnienie i on mi nadesłał. Ono jest do dzisiaj zdeponowane w bibliotece w Strzyżewicach. To nie było duże wspomnienie, ale to, co zapamiętał, pozwala mi w tej chwili na przedstawienie w ramach Historii Mówionej tego, co wiem, więc te dwa źródła zadecydowały o tym. Nie znam daty, kiedy rozpoczęło się tajne nauczanie w Strzyżewicach. Jeszcze kwestia nazewnictwa. W okresie okupacji była to gmina w Piotrowicach, siedzibę miała w Piotrowicach. Piotrowice są jedną ze wsi gminy Strzyżewice. Dzisiaj jest to centrum Strzyżewic, środek tej gminy, i gmina nazywa się Strzyżewice, ale wtedy była gmina Piotrowice. Na czele tego gminnego ośrodka

tajnego nauczania stał Michał Gonek. On sam tak o tym napisał i wspomagali go bardzo zaufani nauczyciele z kilku szkół z terenu gminy: Aleksander Krajewski, tu jest kolejny nauczyciel ze Strzyżewic, Stefan Chojnacki z Kiełczewic, Władysław Różycki i Teodozja Konrytowa z Bystrzycy Starej i Jan Skoczylas z Tuszówka. Te osoby w swoich ośrodkach szkolnych [organizowały tajne nauczanie]. To były szkoły trzy-, cztero-, pięcioklasowe, a jedyną siedmioklasową to była właśnie ta szkoła w Strzyżewicach, ale miała nazewnictwo Szkoła Podstawowa imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego w Rechcie. Rechta to jest przysiółek Strzyżewic, tak było przed wojną, w okresie okupacji i tuż po wojnie, a dzisiaj – ona jest wchłonięta przez Strzyżewice. Pan Michał Gonek zapamiętał pewne daty. 10 lipca 1944 roku. Opowiadał mi, że przybył do niego kierownik tajnego nauczania w skali powiatu Lublin, nazywał się Bronisław Drzewiecki. Był to pan z Lublina, bardzo możliwe, że to nauczyciel. On zatrzymał się u pana Gonka lub gdzieś w okolicy na cztery dni. 10 lipca w szkole w Rechcie odbyło się zebranie pod nazwą przodowników działaczy społecznych w warunkach państwa podziemnego, i to jest pewna ciekawostka niewyjaśniona do końca, ale logika wskazuje, o co tu chodziło. Ponieważ to było 10 lipca i jak pan Gonek opowiadał, słychać było huk dział zbliżającej się Armii Czerwonej, to warunki działania państwa podziemnego musiały obejmować okupację rosyjską, Armii Czerwonej. On tego nie wyjaśniał, ja wiedziałem, że tu jest jakaś tajemnica. To pewnie groziło mu konsekwencjami, dlatego w kronice nie zostało napisane, a on mi o tym opowiedział w 1973 roku. I widocznie przygotowywano się, jak muszą postępować nauczyciele, władze cywilne państwa podziemnego w warunkach zmiany okupacji. To jest już moje domniemanie, ale jakże logiczne, bo 10 lipca armia zbliża się, co mogło być innego, prawda? Następnego dnia od 11 lipca do 14 lipca odbył się egzamin w zakresie pierwszej klasy gimnazjalnej z kompletów tajnego nauczania z terenu całej gminy. Wybrano wieś leżącą na samym krańcu w terenie lesistym za rzeką, trudnodostępnym ze względów bezpieczeństwa. Była to Borkowizna. Tam mieściła się stara, drewniana szkoła osadników niemieckich, bo osadnicy niemieccy mieszkali właśnie w tejże Borkowiznie, ale w tym czasie wojska hitlerowskie już zabrały ich ze sobą. Tam była pustka. I jak mówił, że z terenu szkoły tej w Strzyżewicach zapamiętał trzech uczniów, którzy zdali egzamin do pierwszej klasy gimnazjalnej. Była to jego własna córka Zofia Gonek, już nieżyjąca, Gustaw Mierzwa z Rechtówka – to jest maluteńka wieś, i Aleksander Jaro z Kiełczewic Dolnych. Ja próbowałem [wypytać], czy było ich więcej, on mówi: „Mogli być.”, ale w 1973 roku on te trzy nazwiska doskonale pamiętał i oni zdali. I druga niezwykle fajna ciekawostka współpracy w ramach państwa podziemnego, podziemia oświatowego z władzą wojskową. Na czas tego czterodniowego egzaminu Borkowiznę otoczył oddział Armii Krajowej AK-Szarugi i on ubezpieczał dzieci i uczniów. Obyło się bez strzelaniny, ale byli pod ochroną, tak jakby dzisiaj można powiedzieć, wynajęte odpowiednie służby, które chronią dzieci w zdaniu [egzaminów]. Dowiedziałem się, że ci uczniowie, którzy zdali egzamin, cała ta trójka dostała się bez problemów.

Jeden studiował, jeden uczył się w Staszycu [w Liceum im. Stanisława Staszica w Lublinie], wszyscy pokończyli, wszyscy nawet zdobyli wyższe wykształcenie w przyszłości. Tyle o oświacie podziemnej w Strzyżewicach-Rehcie.

Pan Michał Gonek urodził się w 1900 roku, a zmarł w 1985 roku. Był długowieczny. Był to krzepki mężczyzna, to jest legendarna postać. On przebył pięćdziesiąt lat w nauczycielskim zawodzie. Byłem na jego pięćdziesięciolecie i przemawiałem do niego jako jego były uczeń. A w samych Strzyżewicach-Rehcie był 47 lat. Jakie to były czasy, kiedy jeden kierownik szkoły mógł pociągnąć szkołę od, powiedzmy, pierwszego sztychu łopaty aż po [emeryturę]. On wybudował szkołę siedmioklasową. To mu dało dużą sławę, ale i Strzyżewicom. Z odległych terenów, osiem kilometrów położonych, szli uczniowie, którzy już pokończyli pięć klas gdzie indziej, żeby skończyć siedem klas. Chodzi o przedwojenne czasy. Poza tym, on był działaczem, piastował stanowiska, był przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej, był przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej w Bychawie. Stał się na koniec jakby działaczem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Jak mi mówił, robił to dla ukrycia swoich poglądów. On był związany z Armią Krajową. Bał się aresztowania. Był poszukiwany przez Niemców. No w każdym razie człowiek zasłużony, który ma nawet [tablicę pamiątkową]. Jeden z absolwentów z Akademii Sztuk Pięknych ufundował mu taką tablicę – płaskorzeźbę jego twarzy i na frontonie szkoły jest zawieszony. Jest to niezwykle zasłużona postać dla tego regionu. Zmarł w Lublinie, pochowany w Lublinie. Nauczycielem był wymagającym, na te czasy pewnie by go wyrzucono, dlatego że stosował karę fizyczną, chłosty. Chłosta to może złe [słowo]. Polegało to na tym – „Wyciągnij rękę, dłoń!” – i uderzał linijką w tą dłoń. Pamiętam, mieliśmy w klasie bardzo krnąbrnego ucznia, który bardzo przeszkadzał, bił innych uczniów, no w ogóle był nie do opanowania jego sposób zachowania. Wyciągał tę rękę, dostawał w łapę parę razy linijką, a pan Gonek był silnym mężczyzną, więc na pewno to bolało, ale nie pomagało. No zwrócił się do jego ojca, że albo go zabierz z klasy, albo coś z nim zrób. A on mówi: „Coś zrobię”. I ten ojciec przyjechał pewnego razu, pan Gonek prowadził lekcję. Wszedł z batem do klasy i mówi: „Dzień dobry”. Pan Gonek mówi: „To ja na chwilę zostawiam pana z synem”. I on tym biczyskiem na oczach całej klasy sprzął w siedzenie tego swojego [syna]. Pomogło, pomogło. To były drakońskie sprawy, to był gdzieś rok 1945-1946, ale pomogło. Pan Gonek zjawił się jak gdyby nigdy nic, jakby nie widział całej sytuacji. Skończył siedem klas ten mój kolega z klasy, no i był dobrym rolnikiem później. Był trudny do wychowania. Pan Gonek przed wojną kończył jeszcze wyższy kurs nauczycieli w Poznaniu. Uczył przedmiotów ścisłych. Bardzo lubił fizykę i matematykę, i to uczył. Uczył także dobrego zachowania, uczył mówienia dzień dobry, zdejmowania czapki. Uczył szacunku do starszych ludzi. To była niemalże rodzicielska nauka dla wiejskich chłopców, ale posłuch miał wielki. Mrugnął, powiedział – wszystko było spełniane. W okresie okupacji okupant zmuszał nauczycielstwo jeszcze przedwojenne do chodzenia po wsiach i zbierania kontyngentów, dostawy. To była okropna sprawa, to

wyglądało jak pomoc okupantowi, ale taki nauczyciele mieli autorytet, że nikt ich nie brał za jakichkolwiek kolaborantów. Oni przychodzili po to, żeby orientować się, robili doskonale raporty o sytuacji finansowej, materialnej. Odmalowywali tę nędzę i składali te raporty, że nawet gdy rolnik nie dał tego, co chcieli od niego okupanci, to na skutek takiego raportu o stanie materialnym tych dzieci, że na przykład dzieci nie mają butów, a jest zima, że jedne buty dla wszystkich dzieci. To dawało to, że jakby umarzano te zaległości. Nikt słowa nie powiedział, że to było cokolwiek zdrożnego. Oni później byli wykorzystywani tak samo, że musieli chodzić i namawiać do tak zwanych spółdzielni produkcyjnych. I to samo robili, że przywiązanie, kultura, tradycja, rolnik nie chce zdawać ziemi – tak perswadowali i tak to się wszystko kończyło.

4. Pan Gonek szkołę budował rękami ojców i dziadków

Warunki w szkole były dość dobre dzięki właśnie świetnemu [gospodarzowi], dzisiaj mówi się, jak jest [dobry] władca miasta, to jest i wybieranie. I znamy takie przypadki. Tak było i z kierownikami szkół. Pan Gonek budował szkołę rękami ojców i dziadków. Jeden dawał furmankę, drugi w lecie wyciął drzewo i mógł dać, trzeci pojechał po kamień. I tak to robiono. Na miejscu robiono pustaki. On to wszystko umiał zorganizować. Szkoła posiadała umywalnię przed wojną i po wojnie na korytarzu były zainstalowane z kurkiem z wodą, a woda była wyżej umieszczona w pojemniku, tak że spadało. Wszystkie dzieci musiały higienę mieć, pewnie w domu rąk nawet nie myli, ale w szkole musieli. I były piece, i trzeba było dostać opał. Szkoła nie dostawała wystarczającego przydziału węgla i on wszedł w kontakt z lasami, z gajowymi. Młodzież wybierała się [do lasu] i ja też. To były liczne klasy. W mojej klasie było 54 uczniów, dzisiaj nie do wyobrażenia. Siódma klasa – 54 uczniów. Ciężko było opanować taką gromadę. Myśmy chodzili do tego lasu w Dębszczyźnie – tam wszystko [zaczyna] się na „d”: Dębina, Dębszczyzna, bo lasy były dębowe – i zbieraliśmy cały dzień żołądź. Tych żołądź ta szkoła zbierała kilka wozów. Żołądź szły do leśniczego i gajowego, i on dokarmiał dziki i inne zwierzęta, tak jak dzisiaj to robią myśliwi. Za to odpłacał się daniem drewna opałowego. I to drewno woźna paliła w tych wielu piecach, siedem klas – rozpalone. Ale było ciepło. Warunki były dobre, warunki były nie u wszystkich dzieci, były dzieci u zamożniejszych rolników, które miały wszystko, co trzeba: dobry ubiór i jak dzisiaj, ale były takie, które były i niedożywione, i nie miały [ubrań]. Tam wtedy były takie kategorie pracowników folwarcznych, którzy pracowali w dworach i oni nie mieli nic. Szkoła była dobrze wyposażona. Chyba na skutek tych poznańskich studiów tam były pomoce naukowe. Były pomoce naukowe, globusy, różne rzeczy. Pamiętam doświadczenia, które później miałem w szkole średniej, że w jakichś próbkach jakiś materiał wybuchał, parę robił. On to nam pokazywał, to wyobraźnię wzmagало niezwykle, tak że jak na tamte czasy, to był taki pokój pomocy naukowych. I wszystko stało na tych półkach w

przyrządach, jakie były dostępne wtedy. Szkoła dobrze funkcjonowała i dobrze do dzisiaj funkcjonuje.

[Szkołę] murowaną zrobił. On już wiedział, że ja to wszystko opisałem w monografii szkoły, już jest drugie wydanie, szkoła już ma sto lat. Powstała w 1915. Pani Antonina Kołaczkowska – ziemianka założyła [szkołę], ziemianki zakładały szkoły. Nauczyciele szkołę rozbudowywali i prowadzili pod względem merytorycznym.

5. Majątek ziemski Kołaczkowskich herbu Abdank

Przez lata uczono, że [ziemianie to] wyzyskiwacze, ludzie, którzy niszczą, to jest absolutnie odwrotna sytuacja. Tam byli Kołaczkowscy herbu Abdank. Pierwszy Kołaczkowski, który był to był prezydent miasta Lublina. Jest jego portret w ratuszu [w Lublinie]. On był prezydentem miasta Lublina w latach chyba 1915-1916. Nie bardzo mu się gospodarowało, oddał synowi gospodarstwo, a sam przeniósł się do Lublina i został prezydentem. Kolejny to był ten Kazimierz Kołaczkowski, a jego żona Antonina i ona była nazywana macierzą szkolną. Przez całe życie tylko to robiła, by krzewić oświatę. W zasadzie wszystkie szkoły powstawały dzięki jej pracy oświatowej, przekonywania. Tam było trudno przekonać niektórych rolników, by posyłali dzieci do szkoły. O tym, żeby dzieci chodziły do szkoły przed wojną w okresie żniw, lata, to mowy nie było. Dziecko było wykorzystywane do pracy. A ona przekonywała, przekonywała, powoli się to rozszerzało. Miała doskonałe efekty, oczywiście pierwsza szkoła była w karczmie. Ona oddała karczmę na użytek szkoły. Później ta szkoła pan Gonek zaczął stawiać murowaną i powstała murowana, do dzisiaj jest rozbudowana. Pani Antonina Kołaczkowska napisała książkę Monografia szkolnictwa w powiecie lubelskim. Książka jest rzadkością, ale jest w bibliotece KUL-owskiej i [bibliotece imienia Hieronima] Łopacińskiego. I ona opisała w powiecie lubelskim wszystko to, co działo się od 1915 roku, łącznie z tymi wydarzeniami II wojny światowej, aż do czasów, kiedy ona była tu. Oni nie tylko szkołę, oni na przykład oddziałom partyzanckim Armii Krajowej użyczyli konie wierzchowe, konie transportowe, bo partyzanci przemieszczali się wozami konnymi. I ten ich wkład materialny w dzieło odzyskania państwa był wielki. To nie był duży majątek, w sensie takich jakichś latyfundiów. Tam było gdzieś ponad 800 hektarów. To są małe majątki, takie jak na przed wojnę, no ale rzecz polega na tym, że musieli być ludzie do uprawy tego gospodarstwa. I każdy właściciel ziemski budował tak zwane czworaki. I Kołaczkowscy też wybudowali coś w rodzaju budynków socjalnych, że budowali długi budynek z czterema wejściami i tam rodzina dostawała jeden pokój i ci ludzie, którzy pracowali nie mieli własnej ziemi, nie mieli własnego inwentarza, nic nie mieli. Całkowicie byli zdani na tego właściciela ziemianina i pracowali u niego. Jedni hodowlą się zajmowali, drudzy uprawą roli, ale oni byli biedni. To nie ulega wątpliwości, ja pamiętam z klasy, niewiele mieli, i to była ludność, która poparła zmiany w 1944 roku. Być może nie bardzo by się zainstalował ten komunizm w

Polsce, gdyby nie ta grupa ludności, a to była duża grupa, bo gospodarze tacy z dziada pradziada, którzy mieli własność od wieków, to oni od razu wiedzieli, że Rosjanie przynoszą zgubę, ale ta druga grupa – wieś była zróżnicowana socjalnie. Dzisiaj to zaniknęło już. Jeszcze jako ciekawostka, już nie związana z tym. Ta grupa, jak ja już byłem studentem, zaczęto w okresie PRL-u namawiać wszystkich do wstępowania do spółdzielni: oddaj ziemie i będziesz w spółdzielni produkcyjnej pracował. Oni się mocniej opierali, niż starzy gospodarze. Oni mówili: „Nie po to śmy czekali tyle lat na trzy hektary” – bo dostawali w wyniku reformy trzy hektary, to jest dziadowska powierzchnia. Z trudem utrzymywali się, ale oni wybudowali całą swoją wieś. Też nazywa się Strzyżewice, tylko taka w stronę Bychawy na tych gruntach Kołaczkowskich i trzymali się tego bardzo mocno, i mowy nie było, żeby ich namówić do wstąpienia do spółdzielni.

6. Powojenne losy rodziny Kołaczkowskich

Pani Kołaczkowska wspomina dwie ciekawe rzeczy, na które ja zwróciłem uwagę. W 1942 roku do Kołaczkowskich i do każdego właściciela ziemskiego przyjeżdżał Żyd z Bychawy taki handlarz, który kupował zboże na pniu, jak mówiło się, czyli przed żniwami. On ryzykował, że może nie dojrzeć, może jakaś burza wytluc, ale właściciel sprzedawał i wcale nie interesował się już skoszeniem i niczym innym. Brał tylko dla siebie, resztę było sprzedawane. I ona opowiada w swojej małej kronice rodzinnej – pani Ewa Kołaczkowska to córka tej pani od szkół – że przyszedł pan handlarz pożegnać się. Niemcy ich pędzili z Bychawy do Niedrzwicy już do zagłady. I on przyszedł pożegnać się, przeczuwał, to był 1944 rok. Co się z nimi stało? W momencie, kiedy do Strzyżewic przyszła najpierw chmara uciekinierów z Wołynia. Oni przynieśli wieść, co wyczyniają Rosjanie z partyzantami i z ludnością polską. I wszyscy wiedzieli, czym to grozi, i oni postanowili uciec. Dwa dni przed wejściem Rosjan uciekli do Lublina. Po dwóch dniach mój ojciec spotkał pana Kołaczkowskiego i on mówi: „Ukryjmy książki”. I ojciec mój zawoził książki z biblioteki do takiego zakładu prowadzonego przez zakonnice w Kiełczewicach Maryjskich i ta biblioteka tam przez parę miesięcy była ukrywana, a później została przeniesiona do Bychawy, gdzie była znów ukrywana i wreszcie wyjechała do Warszawy. Oni przenieśli się do Warszawy. I pan Kazimierz Kołaczkowski miał dwie córki. Jedna została pisarką dla dzieci – Ewa Kołaczkowska. Napisała dużo fajnych książeczek. Druga była tłumaczką z języków obcych również literatury dziecięcej. Ja ich odwiedzałem w Warszawie, starsze panie, już nie żyją. Ja ich zaprosiłem, ze wzruszeniem chodziła po tym majątku. „Co tu się stało” – kiwała głową, bo był zapuszczony. Dzisiaj ucieszyłaby się, bo jest remontowany jej dwór i tam są dwie grube kolumny, które podtrzymają ganek na górze, i te kolumny zostały pomalowane olejną farbą w PRL-u. I ona mówi tak: „Komu do głowy przyszło malować kolumnę olejną farbą?” – która łuszczyła się. Pytam się, czy jej nie żal – ona w latach osiemdziesiątych odwiedziła moich rodziców

i mnie osobiście już w Lublinie – to ona mówi: „Nie, nie żal. Ja rozumiem, że taki jest powiew dziejów”. Początkowo było przykro, początkowo bali się zsyłki jakiegś, ale przeżyli. I zmarli, są pochowani w Warszawie. Ludność pamięta. Obecna biblioteka gminna jest [imienia] Ewy Kołaczkowskiej, tej pisarki, a w ogóle inną szkołę w Osmolicach założyli hrabiostwo Stadnicy i niedawno szkoła dostała imię – imienia państwa Stadnickich. Odżywa ta pamięć.

No pamiętam tę córkę [Kołaczkowskich], panią Ewę, która była dużo starsza ode mnie, ale która przyjeżdżała, która odwiedzała. Pisałem z nią listy, wszystkie listy opublikowałem i pamiętam ją dobrze, natomiast starszych państwa nie pamiętam. Pamiętam, że pan Kołaczkowski – dziedzic, lubił chodzić na wesela wiejskie i całą noc tańczył ze wszystkimi osobami. Jego żona nie chciała chodzić na takie wesela, a on bawił się świetnie na weselach. Jego lubiano, to nie było tak, że ci, którzy tam byli biedni u niego pracowali. Oni słowa by nie powiedzieli o nim źle. Lubili go. Ziemianie już w okresie okupacji, to byli inni ziemianie niż z XIX wieku. Zmieniała się ta mentalność, podejście.

7. Strzyżewice dawniej i dziś

Nie bardzo zmieniły się [Strzyżewice], jak widzę Polskę, no mam porównania, zresztą to jest tak: ja pracowałem w Warszawie 20 lat. Ja jeździłem, na niedziele wracałem do Lublina. I jak widziałem tę trasę, która dzisiaj już nie funkcjonuje, przez Dęblin, Puławy, do Lublina, Nałęczów, to widziałem rozkwit, wcześniej Rzeczypospolitej, natomiast jak pojechałem do Strzyżewic, bo tam mnie zapraszano na prelekcje historyczne, ja udzielałem się bardzo i udzielam, to mnie zaskakiwało, że nie zmieniają się, że są chaty stare, że pojawiają się domy nowe, takie współczesne, ale rzadko. Przeważnie jednak taki typowo rolniczy charakter nie pozwolił na wydzwignięcie się tych wsi. Zmieniają się, ale nie w takim tempie jak inne wsie. Zmiana nastąpiła jeszcze w zakresie przyrody. To jest Dolina Nadbystrzycka, tak nazwana została przeze mnie w książce i tak przyjęła się ta nazwa. Miała szeroką dolinę, gdzie łąki były uprawiane. Każdy gospodarz kosił dwukrotnie, a już po wykoszeniu był wypas bydła. Bydła było strasznie dużo, teraz nie ma prawie wcale. A łąki zarosły trzciną. Dzikie kaczkę są i w ogóle są to nieużytki. Coś niebywałego. Dziesięć hektarów wody, lustra wodnego w postaci stawów Kołaczkowskich dzisiaj są czymś takim nie wiadomo czym. Zarosły trzciną, trochę wody deszczowej, bo nikt nie wpuszcza, bo nikt nie sprawdza. Młyny, które były bardzo blisko, było ich siedem czy dziesięć na Bystrzycy – przestały pełnić funkcję, popadają w ruinę. Pod innym względem to jest skok do tyłu. Zanika to, co się już nie używa. Teraz to nawet i koni trudno dostrzec w Strzyżewicach. To zmieniło się szalenie. No właśnie dla mnie te łąki, te lasy to były miejsca i zabaw, i miejsce gry w piłkę nożną, zamiast na boisko to na łąkach, które były gładziutki, ładnie wystrzyżone. A to jakieś wspomnienia zostały. Ale zmiany są. Najbardziej brakuje tych nowoczesnych domów, które by się

tam pojawiły, bardzo możliwe, że kolejne pokolenia, jak będzie tak, jak jest, to się to rozwinie.

8. Skąd wzięła się nazwa Strzyżewice?

Ja tę nazwę miejscowości odkrywałem i jest kilka teorii na ten temat. Pierwsza, że nazwa jest od hodowli owiec, od strzyżenia owiec – Strzyże-wice, -wice to jest końcówka dodawana do starych wsi. I rzeczywiście były w archiwach dane, że na tych łąkach były tysiące owiec. I strzyże-, strzygli te owce, i to wełna była gdzieś sprzedawana. To była pierwsza teoria nazwy, ale jest i druga pochodząca od bardzo starego, nieżyjącego już, ale mnie znanego mieszkańca. I potwierdzona przez zamek w Strzyżewicach, że tam w zamku była wysoka, kwadratowa wieża i ona nazywała się Widniówka. Wieś, ten kawałeczek wsi do dzisiaj ludzie mówią „Widniówka”. Na mapie nie jest napisane Widniówka, a ludzie mówią: „Idę na Widniówkę”. I był trakt warszawski [prowadzący przez:] Krasnystaw, Bychawę, Strzyżewice, Niedrzwicę, aż do Kazimierza nad Wisłą. Ten trakt to był stary trakt, gdzie były także napady tatarskie. Na tej wieży, na tej widniówce stali strażnicy, którzy zauważali wcześniej zbliżający się napad, ludzie zbierali się w tym zamku i chowali się. I to Widniówka, ta wieża to było, że strzeże, nie od strzyże, ale że strzeże miejscowości. Tam była bardzo wielka wieś, która nazywała się Wilkowice. Wilkowice przez napad tatarski w 1500 roku została absolutnie zmieciona z ziemi. Po latach powstała nowa wieś o imieniu Pawłów, ale to potwierdzałoby, że to może być od strzeżenia przeprawy przez rzekę. Rzecz ciekawa, że przeprawa przez rzekę miała sto metrów długości. Był most. Tam nawet pobierano myto, jak przechodzono w starożytności. I ta przeprawa przez rzekę była bardzo trudna i dlatego ten zamek i ta wieża strzegąca miejsce była za rzeką. Która z tych teorii jest prawdziwa – nie wiem, ale albo od strzyżenia owiec, albo od strzeżenia przeprawy.

9. Mieczysław Rymarz pseudonim „Krakus”

Tato miał na imię Mieczysław, miał pseudonim „Krakus” od tego, że zięć państwa Kołaczkowskich zorganizował wśród bogatszych rolników przysposobienie wojskowe polegające na tym, że każdy musiał mieć konia wierchowego, kupić sobie siodło, lance, czapkę taką kwadratową i na wzór takiej formacji jeszcze z okresu powstań krakusów, on ich szkolił do takiego przysposobienia, dzisiaj byśmy wołali przysposobienie wojskowe. I ci krakusi tworzyli pewien pułk krakusów w powiecie lubelskim. Są nawet w Internecie zdjęcia. Opiekował się tymi krakusami 24. pułk ułanów w Kraśniku. On był porucznikiem ten pan Nowakowski, który ich szkolił. Ojciec ma pamiątkę z tego, bo spadł z konia, złamał rękę i całe życie miał źle złożoną i źle się zrosła. I on właśnie służył w tych [krakusach], i stąd wzięł ten pseudonim. [Tata] był rolnikiem, ale takim można powiedzieć większym rolnikiem,

zamożniejszym. W Strzyżewicach było to chyba największe gospodarstwo rolne. Ojciec dobrze wiedział, że on nie wytrzyma dalej i kiedy były tak wielkie nakładanie już przez polskie władze ludowe – ojciec ze swojego gospodarstwa płacił więcej niż spółdzielnia produkcyjna składająca się z siedmiu gospodarstw. Przez nakazy, ale wywiązywał się do czasu, nawet wyprzedawał ziemię, żeby wywiązać się, żeby nie pójść do więzienia. I wreszcie sprzedał. Całe szczęście. Przenieśliśmy się do Lublina, kupił dom. Myśmy wykształcili się. Średnia szkoła ja i brat, mój brat jest notariuszem, w tej chwili cała rodzina jest prawnicza. Mój [etap lubelski zaczął się] w 1953 roku, jeszcze w czasach stalinowskich. Mieszkaliśmy na [ulicy] Kunickiego, ale tam już daleko za [ulicą] Zemborzycką. Tam do tej pory jest nasz wysoki, stojący dom. Już związany byłem z Lublinem bardzo mocno. Trzynastoletni chłopiec, ja zacząłem szkołę średnią w trzynastym roku życia, to bardziej już pamiętam te czasy niż odległe dzieciństwo.

10. To, że zostałem prawnikiem jest zasługą mojej mamy

To jest zasługa mojej mamy. Tak jak zasługą ojca jest, że ja mam historyczne skłonności, tak mamy, że ja zostałem prawnikiem. Ja mam na imię Ferdynand. To imię jest niespotykane w Strzyżewicach, nawet w Lublinie rzadkie. Była kiedyś taka sytuacja, że pan redaktor Leszek Gzella z Kuriera [Lubelskiego], jak ja miałem spotkanie w Domu Kultury Kolejarza, to on słuchał, co ja mam do powiedzenia na temat historii Strzyżewic, a później mówi: „Przepraszam pana, skąd wzięło się pana imię?”, ja mówię: „Z Wołynia, z Galicji”. Rodzina mojej mamy – Koczorowscy, pochodziła z Wołynia. W tradycji rodzinnej było imię Ferdynand. W ogóle jednemu synowi mama dała imię Ferdynand, a drugiemu Leopold. I ten Leopold też był niespotykany. W szkole czułem się bardzo źle, byli Stasie, Kazie, Wojtki, a nie wiadomo było, jak na mnie mówić. I dzisiaj ja jestem już zadowolony z imienia, ale wtedy nie byłem bardzo zadowolony. W Lublinie już jakoś było, utarło się. I mój pradziadek – Ferdynand Koczorowski – w tradycji rodzinnej był w XIX wieku prawnikiem. To okazało się nieprawdą, bo ja to sprawdziłem w archiwach. Jest jego teczka personalna, ale fama była: jest prawnikiem i on zawsze był urzędnikiem. Miał wprawdzie majątek ziemski, trochę go przehulał. Część zostało jako folwark, ale [dziadek] przeszedł w rodzinnej tradycji jako prawnik. Ja później sprawdziłem, że on miał wykształcenie domowe, ale domowe nie znaczy niskie. On musiał [mieć] jakieś wyższe wykształcenie, musieli go kształcić nauczyciele tacy, jak to w XIX wieku kształcono. I jest jego karta służby, on pełnił funkcję na przykład w Tyszowcach był burmistrzem, był urzędnikiem skarbowym w guberni lubelskiej. Zmarł w Krasnymstawie jako urzędnik takiego dzisiaj urzędu skarbowego. Ciągłe widocznie w tych skarbowych [urzędach] musiał być. I znalazłem jego podpis – pięknie wyrobione pismo, wygląda na to, że był inteligentem. A ten majątek przeziukał, chociaż jeszcze tam trochę zostało po wojnie, jakieś dzieci dostały coś niecoś. I mama, powracam do

tęgo, w dzieciństwie tak mi opowiadała, że ja chciałem być prawnikiem. Z drugiej strony ustrój decydował. Ja byłem bezpartyjny, niezaangażowany politycznie w okresie PRL-u i marzyłem o wolnym zawodzie. A wolny zawód, to tylko adwokatura. I ja studiowałem z myślą, że zostanę adwokatem, i tak też się stało. Później tak zostało, ten zawód wykonywałem z powodzeniem, bo przecież sędzia Trybunału Konstytucyjnego to wysoka godność i rzadko kto dociera, to 15 sędziów w kraju tylko jest przez dziewięć lat na kadencję, ale historia została, jakby drugim nurtem zainteresowań.

11. W Lublinie zaczęło się już w 1915 roku

Jeden nurt to jest niezwykle aktualny, to jest nurt niepodległości. My mówimy teraz: 1918 rok to jest niepodległość, Piłsudski – 11 listopada – od tego liczymy, ale w Lublinie zaczęło się w 1915 roku. To wielki wkład inteligencji lubelskiej, a grupy inteligencji były dwie: adwokaci i lekarze. Sędziowie w Lublinie byli w 96 procentach rosyjscy. I te dwie grupy lubelskie prowadziły akcję patriotyczno-szkoleniową od 1898 roku. Ich dziełem było założenie towarzystwa muzycznego, które dzisiaj nazywa się imienia Henryka Wieniawskiego, to założyli adwokaci w określonym celu. Ja te wszystkie przygotowania do tego 1918 roku, łącznie z zakładaniem organizacji polskich, łącznie ze strukturą sądów polskich, które w 1917 roku powstały, na rok przed niepodległością, to ja to wszystko mam przygotowane na świeżo, ponieważ przygotowuję stulecie w radzie adwokackiej. Pierwszy etap to było: „Adwokaci lubelscy ku niepodległości” – taki byłby tytuł z takimi pięcioma podpunktami. Drugi: „Izba adwokacka w okresie okupacji hitlerowskiej” – tutaj jest miejsce także na zagładę Żydów, i w okresie Polski Ludowej również jak adwokaci opierali się komunizowaniu.

12. „Zbierajcie póki możecie wspomnienia ludzi”

Miałem takiego profesora, nazywał się [Józef] Szaflik. Przyjechał z Uniwersytetu Warszawskiego i nauczył nas techniki badań historycznych, to od niego to mam. I on powiedział: „Zbierajcie, póki możecie, wspomnienia ludzi. Nie musi być jeden, weryfikujcie, nie wiercie im i krytycznie oceniacie”. I ja znałem tych ludzi z XIX wieku, którzy jeszcze dożyli tych czasów. Ponieważ ja miałem pozycję, Strzyżewice, ja też jestem pewną, przepraszam za nieskromność, legendą, że z tamtego rejonu pochodzę, a byłem znany w kraju, ja byłem przewodniczącym państwowej komisji wyborczej przez wiele lat w Trzeciej Rzeczypospolitej, i w związku z tym to wchodziło. Jak mówiłem, to mi wierzone. Jak publikowałem, to czytano. Ja w tej chwili niedawno pojechałem na promocję mojej książki, przyszła pełna remiza ludzi. Moje książki były rozdawane darmowo, bo były sponsorowane wszystkie. Ustawiła się kolejka, każdy chciał, no satysfakcja, że ziarno rzucone, ludzie zaczynają być patriotami tej

miejsowości. Pokazuje, że to był dziewiczy teren. Adwokatura była też, owszem, był okres dwudziestolecia międzywojennego, kiedy tamtejsi mecenas napisali jeden taki rocznik, nie za bardzo go lubię, ale streścili historię. I ta historia pozwoliła mi na dobre poruszanie się, a reszta to już moje badania. Tablice pamiątkowe wielkim ludziom i przynajmniej siedem-osiem jest z mojej poręki. Byłem współzałożycielem towarzystwa regionalnego, Strzyżewickie Towarzystwo Regionalne. Ono istnieje do tej pory, założone jeszcze w PRL-u. To towarzystwo chwyciło, przeważnie emerytowani nauczyciele są, ale prężnie działa. Wydaliśmy ponad dwadzieścia tytułów.

13. Pisanie książki było dla mnie odreagowaniem stresującej pracy

Pani Kołaczowska opowiadała mi tak, pamiętam jej zdanie dokładnie: „Dotąd śni mi się jakaś nieokreślona ścieżka między łąkami, jak szłam do Kiełczowa w Kiełczewicach. Pojawia się u mnie we snach” – tak mi powiedziała w moim liście pani Ewa, pisarka, ja później opublikowałem to piękne zdanie, jak mam sny, to też jawi się mi coś właśnie stamtąd. To jest bardzo silna emocja i ta emocja targa człowiekiem. A w Warszawie to była stresująca praca. Ja odreagowywałem siedząc przy komputerze i pisząc rzeczy, ja gromadziłem materiały, ja pojechałem do Warszawy z tymi wspomnieniami ludzi, z listami. Robiłem kserówki sobie w bibliotekach, tak że materiały miałem i ja to pisałem popołudniami. Nie chodziłem z racji stanowiska po jakichś restauracjach, mnie na pewno nie nagrali, ale myśmy byli inni w początkach tej Trzeciej Rzeczypospolitej. To była inna klasa niż dzisiaj. Jak dzisiaj się pozwalają nagrywać ludzie, którzy rządzą Polską, to dziwna sprawa. Oni zachowują się fatalnie. Ja na przykład nie mogę zrozumieć, to już nie chodzi o jakieś bezpieczeństwo Polski, ale że oni między sobą – oni, to znaczy mówię o całej klasie, o wszystkich opcjach – używają wulgarnych określeń. No nie do pomyślenia wśród pokolenia z tych starych mecenasów z mojego pokolenia.

Data i miejsce nagrania	2019-02-12, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Transkrypcja	Karolina Kołodziej
Redakcja	Dagmara Spodar
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"